

DOLL STORY

MICHAŁ PAWEŁ
URBANIAK



PORUSZAJĄCA POWIEŚĆ
O DOTKLIWEJ SAMOTNOŚCI W RODZINIE
I CIĄGŁEJ GRZE POZORÓW

MO
VA

DOLL STORY

MICHAŁ PAWEŁ
URBANIAK



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczynie: Justyna Żebrowska, Monika Rossiter
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Adam Osiński (KorektArt)
Projekt i ilustracje na okładce: © Justyna Tarkowska / www.milewidziane.pl
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2023 by Michał Paweł Urbaniak

Copyright © 2023, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-192-3

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



CZĘŚĆ I

„Nawet cień przyjaciela starczy,
aby uczynić człowieka szczęśliwym”.

– MENANDER



ROZDZIAŁ 1

Mama nie chciała kupić mu przyjaciela. Zlitowałyby się – przecież nie miał ani jednego! – ale wolała się z nim drażnić jak z głodnym psem, któremu pokazuje się kość nieprzeznaczoną dla niego. Zamykała temat i popadała w pokazowe zamyślenie, aby dać mu cień nadziei.

– To nie będzie twój brat – zastrzegła.

Wolf Rajchert aż za dobrze znał ten niby spokojny, ale kategoryczny ton.

– Okej – odparł.

Żadnych braci. Nauczył się jej nie sprzeciwiać, dostosowywać się. Wyrastał z tej uległości, szkoda, że dotąd nikt tego nie zauważył. Tym razem był gotów pójść na każde ustępstwo, byle dostać brata, przyjaciela, Maskotkę, zwał jak zwał.

– Jeśli w ogóle go wezmę, ale raczej nie.

Nikt tak jak ona nie potrafił sprawiać radości, po czym jej zabijać. Czerpała z tego przyjemność – tych zaś miała w życiu mało, o czym ani jemu, ani tacie nie dawała

zapomnieć. Święta Antonina Męczennica, patronka przypadków beznadziejnych.

W takich chwilach bardziej niż zazwyczaj przypominała mu generała. Nie była to tylko kwestia wyglądu – krótko ściętych ciemnych włosów czy zawsze czarnego ubioru (preferowała dobrze skrojone spodnie i marynarki, w sukience chyba ostatni raz pojawiła się na własnym ślubie). W jej rysach, pogłębionych zmarszczkami, było coś twardego, nawet gdy udawała, że się uśmiecha. Ilekroć suchym tonem, podkreślającym niekwestionowalność faktów, opowiadała mu o wojnach – od starożytności aż po dwudziesty pierwszy wiek – stawiała ją w wyobraźni tuż obok przywódców bitew, które rozstrzygały o losach świata.

Teraz sama rozstrzygała o losach ich prywatnego świata. Żegnaj, bracie nie bracie. Żegnaj, ktosiu, bo Wolf nawet go nie poznał. Jeszcze pięć minut temu nie było tematu. Podwieczorek, gadka szmatka, ciocia Wika krążyła dookoła, aż w końcu wypaliła z tymi Maskotkami, „absolutnie wywrotową akcją charytatywną”. Na początku przyjęli z niedowierzaniem i rozbawieniem pomysł z zatrudnianiem na stałe młodych ludzi – właściwie dzieci – do towarzystwa, lecz to nie były żarty. Pięć minut to dość, aby Wolf się nastawił.

Chciał Maskotkę jak niczego dotąd na świecie. Kogoś, kto by go tak naprawdę lubił.

Ciocia rozejrzała się dookoła, jakby nigdy wcześniej u nich nie była.

– Sporo tu przestrzeni – rzuciła pozornie bez związku.

Dom był duży, jednopiętrowy, o przestronnych, jasnych pokojach. Mógł wystarczyć za cały świat. Dla Wolfa musiał być całym światem.

Mama go wybrała i urządziła jak większość spraw w ich życiu. Objeżdżała sklepy meblowe tak długo, dopóki nie znalazła tego, co najbardziej jej odpowiadało – najwłaściwszych łóżek, karniszy, mydelniczek, dużego stołu do jadalni (nieużywanego na co dzień, przeznaczonego głównie dla gości zaproszonych na ekskluzywne kolacje). Wolf tego nie pamiętał, miał parę lat, gdy się tu wprowadzili. Mama opowiadała mu o tych dniach ze zdumiewającą pogodą. Wtedy kąśliwe uwagi wymierzone w tatę (który o nic by nie zadbał, pozwoliłby im cisnąć się w małym mieszkaniu, byle jemu było wygodnie, taki już jest, nieudacznik, do niczego nie dojdzie, ona osiągnęła wszystko sama i tak dalej) nagle stawały się całkiem nieszkodliwe.

Mały Wolf lubił powtarzać mamie, że kocha ten dom i nie musi nigdzie wychodzić. Wówczas się uśmiechała.

Teraz go nienawidził. Gdyby ktoś z nim tu był, nienawidziłby go mniej.

Nienawidził też salonu, w którym siedzieli – mama, ciocia Wika i on.

Wyobrażał sobie salon jako miejsce stworzone do angielskiego five o'clocku: granica ze ścian, wygodne fotele, kominek, wazon, w nim świeże kwiaty. Salon rodziców, a raczej salon generała Rajchert był na wskroś nowoczesny: otwarty, wyposażony w skórzane kanapy i telewizor plazmowy – cyfrowa ramka wyświetlająca zdjęcia i oświetlenie sterowane na pilota (kolejny techniczny zachwyty taty). Wazon był mały, wypełniony drobnymi kamyczkami, zimnymi w dotyku.

Teraz były też kawa, herbata i ciastka kupione w pobliskiej piekarni.

I był Wolf, kolejna ozdoba, ktoś prawie dorosły. Schodził na dół, gdy rodziców w weekendy odwiedzali goście. Miał posiedzieć z nimi kwadrans, być uprzejmym, uśmiechać się, a potem wycofać bez protestu. Zawsze to coś innego niż domowa cisza albo kłótnie rodziców. Coś innego niż jego pokój, nauka, gra na fortepianie. Inny rodzaj nudy.

Gdyby miał brata niebrata, tę Maskotkę, płatnego przyjaciela, wcale by się nie nudził, choćby podczas wizyty cioci Wiki. Najwyżej nudziłyby się z kimś. Później mogliby się z tego nabijać.

W kryminale Agathy Christie w herbacie byłyby trucizna – na przykład morfina. Wsypałby ją do liptona mamy.

Cieszył się na odwiedzin cioci, ale gdyby miał wybór, wolałby wizytę jej córki, swojej ukochanej Beaty. Łączyło je rodzinne podobieństwo – miały zbliżone rysy twarzy, wielkie piwne oczy, które podkreślały mocnym makijażem, i jasne, puszyste włosy, u cioci aktualnie udziwnione przez balejaż. Ciocia była gruba i nosiła mało twarzowe okulary. Wzdrygał się na myśl, że Beata za kilkadziesiąt lat może tak wyglądać. Na pewno się nie zaniedba. I nie wprosi się do nikogo na podwieczorek, aby kusić propozycją nie do przyjęcia.

Nie mógł mieć brata. Przyjaciela. Nikogo.

„Brat Wolfa”. Nie, to nie pasowało. Podobnie jak „wynajem ludzi”, „żywa maskotka”, „przyjaciel za pieniądze”, „ktoś do towarzystwa”.

Chciał mieć Maskotkę. Powiedziałyby jej o wszystkim. O chorobie, której nie pamiętał. O śledzienie, której już nie miał. O koszmarnych szkolnych latach, o których nie umiał zapomnieć, a za którymi o dziwo czasem tęsknił, o ile da się

tęsknić za czymś, czego się nie przeżyło. O znienawidzonej grze na fortepianie. O kłótniach rodziców (nie, o tym raczej nie). O Beacie. O płaczu z bezsilności.

Powiedziałyby też o tym, że nigdy nie miał przyjaciela. I że wreszcie, wreszcie ma.

Ale nie powie, bo nie będzie komu.

Lepiej było nie wiedzieć, że istnieją Maskotki. Wszyscy dookoła je dostaną, tylko nie on! Po co ciocia przyszła tu z kolejną akcją charytatywną? Nawiedzony renifer Świętego Mikołaja. Dostarczycielka prezentów, których nikt nie chce.

Poza nim.

– Nie można się spieszyć z taką decyzją – przyznała ciocia. – Te dobre też trzeba przemyśleć.

Uśmiechnęła się do Wolfa, przeczuwając, że ma go po swojej stronie. Nie wierzył w te śmiechy, zamierzała coś ugrać, już wiedzieli co. „Maskotki to trafna nazwa, prawda? Przywołuje ciepłe uczucia i chęć objęcia opieką potrzebujących”. Wolf się zgodził. Chciał mieć przyjaciela, choćby wynajętego.

Rodzice zazwyczaj spełniali jego życzenia. Kiedyś kupili mu na urodziny maszynę do robienia waty cukrowej. Był mały, patrzył z rozdziawionymi ustami, jak patyczek oblepia kokon gigantycznej słodkiej pajęczyny. Tak wyglądało szczęście absolutne kilkulatka. Chciałby wejść cały do takiej waty, opatulić się nią i zjadać od środka. Mama i tata uśmiechali się do niego. Tamtego dnia się nie pokłócili, a on łudził się, że już nigdy tego nie zrobią.

Chciał Maskotkę. Za to, że był chory. Za to, że prawie nie mógł opuszczać domu. Za to, że dobrze się uczył. Za awantury. Zasłużył sobie na nią.

– Beata mówiła, że niemiecki idzie ci coraz lepiej – zwróciła się do niego ciocia. – Dla mnie zawsze był za trudny. Te językowe tasiecmce, rodzajniki... Wolałam już rosyjski z cyrylicą. Cieszę się, że przynajmniej moje dzieci opanowały niemiecki. Beata twierdzi, że Wolfgang to najlepszy z jej uczniów.

Ten oszukany komplement sprawił mu przyjemność – a raczej sama myśl, że mógł paść z ust Beaty.

– W szkołach w ogóle się nie uczą – ciągnęła. – Ściągi piszą, czytają streszczenia, dostaną trójkę czy czwórkę, zapominają i nic z tego nie wynika. Rozumiem, że można sobie lekceważyć plastykę czy religię, ale żeby języki?

– Z tych ludzi nic nie będzie na ich własne życzenie – prychnęła mama. – Nauczyciele też są różni, nie zawsze tacy jak twoja Beatka. No i jak można kogoś nauczyć czegokolwiek, skoro w klasie jest po dwadzieścia pięć, trzydzieści osób? Łatwo się wypalić w takiej pracy, a to się odbija na uczniach. I mój jedyny syn miałby płacić własną przyszłością za cudze frustracje? Dobrze, że w porę rzuciłam tę robotę!

Przez lata uczyła historii w dwóch szkołach. Oprócz żywiołowej niechęci zostało jej po tym sporo materiałów, które trzymała w wypchanych segregatorach w pomieszczeniu gospodarczym. Gdyby nie segregatory, łatwo byłoby te papiery pomylić ze znajdującą się obok makulaturą. Niekiedy przynosiła któryś z nich na ich lekcje, a Wolf miał wrażenie, że obcuje ze starodrukami z archiwum, a nie z byle kserówkami.

Były tematy, od których się zapalała, a ciocia Wika nieprzypadkowo poruszyła jeden z nich. Mama włączyła starą śpiewkę o tym, ile się nasłuchała, gdy walczyła o to, aby jej jedyne dziecko uczyło się w domu. Nie bała się ludzi, jeśli

była do czegoś przekonana, nie zamierzała oglądać się na innych. Ciocia pochwaliła ją za odwagę społeczną i przypomniała o Maskotkach.

– Ktoś musi dać im szansę, prawda? To uczciwy kompromis, nie tyle adopcja, ile praca.

– I z takim uczciwym kompromisem te twoje Maskotki to kontrowersyjny projekt.

– Tam, gdzie chodzi o dobro dzieci, nie można się zastanawiać nad kontrowersjami – zaproponowała ciocia, a mama przyznała jej rację, acz z taką miną, jakby myślała dokładnie na odwrót.

Wolf wykorzystał tę szansę.

– No właśnie. Moglibyśmy kogoś sobie wybrać. Mamusiu, proszę!

Mamusiu? Proszę? Miał piętnaście lat! Że też musiał się aż tak poniżać!

– „Wybrać” to nieładne słowo, Wolficzku. – Ciocia się skrzywiła. – To nie akwizycja, nie chodzimy po domach i nie sprzedajemy ludzi, podajemy tylko podstawowe parametry.

Koniec komitywy. Wolf nie znosił swojego imienia, a już na pewno nie w wersji spieszczonej do niemożliwości. Nie znosił też cioci Wiki.

– Wolfgang, idź do siebie – poleciła mama. – Masz naukę. Powtórz geografię i wojnę secesyjną.

Zazwyczaj odsyłała go do podręczników od razu z konkretną ofertą.

– Jest sobota – próbował się bronić.

Alfred Chrobry. Bitwa pod Bzdurą. Były cztery wojny puńskie. Albo ze czterdzieści.

– Nie ma złych dni na naukę. Człowiek renesansu tylko szukałby okazji do pogłębiania wiedzy. Wyjdź, chcę porozmawiać z ciocią – dodała ostrzej, przypominając sobie o kolejnym rozczarowaniu.

Wierzyła, że jej jedyny syn zawojuje świat nie tylko swoją historią, ale także swoją wiedzą, a potem swoją muzyką. Gdy rzucił grę na fortepianie, mógł się pożegnać z „człowiekiem renesansu”. Choć odpowiednio wystrojony, wciąż był tylko tą osobą, którą wyprasza się z towarzystwa po kwadransie.



Stał przy balustradzie schodów niczym na teatralnym balkonie. Nie musiał widzieć mamy i cioci, ważne, że całkiem nieźle je słyszał. Gdyby przeszły do kuchni, a on zszedł o parę stopni, również dobiegłoby go każde słowo. Miejsce było idealne, żeby się czegoś dyskretnie dowiedzieć – od lat je wykorzystywał.

Mama musiała za niego przeprosić. Nie znosiła przeproszać. Ciocia zbagatelizowała sprawę i zaczęła go wychwalać, co nie pasowało do sytuacji.

– Jest bardzo dojrzały jak na swój wiek. Taki ułożony, kulturalny. Nie głupoty mu w głowie. Moje dzieci w tym wieku sprawiały tylko problemy. On jest zupełnie inny. Niektóre przejścia kształtują charakter, choćby nie zachowały się w pamięci.

– Staramy się o nich nie pamiętać – westchnęła mama.

Umiała wzbudzać w nim poczucie winy – najlepiej udawało jej się, gdy robiła to nieświadomie, tak jak teraz. Czy przed chwilą na serio chciał jej wlać do herbaty morfiny?

Mimo że była apodyktyczna, kochał ją. Nie zamieniłby jej na inną matkę.

– Spodobały mu się Maskotki – podsunęła ciocia. – To niezłe rozwiązanie, przecież on prawie nie wychodzi z domu.

– Nie wypuszcza się chorowitych dzieci, a Wolfgang wszelkie zarazki przyciągnąłby do siebie jak magnes opiłki. Jeszcze brakuje, żeby mi chorował!

– Na twoim miejscu sama postępowałabym podobnie, ale on ma tylko ciebie i Włodka. Musi mu brakować rówieśników.

Racja. Brakowało.

Niekiedy wchodził na czat. Patrzył, jak przesuwają się kolejne wypowiedzi na stronie głównej. Bał się cokolwiek napisać. Wyłączał. Przypominał sobie, jak „koledzy” ze szkoły dawali mu popalić. Mama powtarzała, że on nikogo nie potrzebuje. Że dzieci w tym wieku są głupie, a on dojrzały. Że będzie wielkim muzykiem. Z takim ojcem, ze swoją ambicją, z inteligencją. Nie ma innej drogi. Po co miałyby się rozpraszać? Ludzie są zawistni, źle życzą, dzieci też.

Ale Maskotka chyba musiałaby go lubić?



Jako dziecko – podobno ładne – Wolf podsłuchiwał tak samo, tyle że wtedy kładł się za balustradą i obejmował tralki spocynymi dłońmi. Z ładnego dziecka wyrósł nieszczęśliwy nastolatek, ot, statystyczny reprezentant gatunku – zbyt chudy, z pryszczami i kłaczkami niedogolonego zarostu (zawsze kilka kolonii włosków umykało przed ostrzem żyletki). Gdyby miał stworzyć własną charakterystykę, wymieniłby

zestaw cech: ciemne włosy, piwne oczy, nos, który byłby lepszym nosem, gdyby ująć mu kilka milimetrów długości, i te usta – zbyt szerokie i mięsiste, tak jakby ktoś przykleił mu do twarzy zmutowaną gąsienicę. Nadrabiał inteligencją – czym się czasem pocieszał przed lustrem – lecz to właśnie twarz była jego wizytówką. Zwracał uwagę ubiorem: koszule zamiast koszulek, marynarki zamiast bluz z kapturem, płócienne spodnie zamiast dżinsów, ale to był wymysł mamy, nie jego.

Ciocia Ewa Kocikowa, która przychodziła go strzyc co parę miesięcy, mówiła mu, że jest przystojnym młodym mężczyzną. On w zamian komplementował ją podobieństwem do Moniki Richardson. Śmiała się, dodawała, że jest jego „ciocią Moniką”. Gdy zajmowała się jego włosami, nakładała na nie pachnącą odżywkę i przyskała lakierem – czuł się wtedy przystojny. Ciocia pewnikiem powtarzała te słowa w różnych wariantach każdemu klientowi Eve Beauty.

Na dole wciąż toczyła się rozmowa.

– Długo się staraliśmy, zanim się pojawił – powiedziała mama. – Kiedy pogodziłam się z tym, że nie będziemy mieć dzieci, zaszłam w ciążę. Chcieliśmy więcej, nie udało się.

Gdyby rodzice mieli jeszcze jedno dziecko, jakieś wydanie drugie poprawione syna, Wolf byłby zazdrosny.

– Teraz mogłoby się udać, co z tego, że nie byłoby to wasze biologiczne dziecko? Zresztą nie musicie go traktować jak członka rodziny. Maskotki będą wdzięczne za dach nad głową, nie potrzebują przywilejów. Zrobilibyście coś dobrego.

– Robimy dużo dobrego i bez przygarniania sierot. Wpłacamy datki na walkę z rakiem, na hospicja dziecięce,

przygotowujemy paczki na święta dla bezdomnych, ba, za twoją sprawą zatrudniam do sprzątanania Ukrainkę!

– Jesteś zadowolona z Zinaidy, jak my wszyscy.

Przechwałki mamy nie mogły zrobić wrażenia na cio-ci – i tak by ją przebiła w temacie pomocy innym. Angażowała się w najrozmaitsze akcje charytatywne. Rodzice często dawali się namówić na datki czy udział w różnych aukcjach i nabywali niepotrzebne przedmioty. Te bibeloty kurzyły się u nich albo zabierała je Zinaida. Zdarzały się bajeranckie gadżety, wtedy zgarniał je tata. To były jego zabawki – odpowiedniki autek na baterie i gadających po angielsku piesków z wmontowanymi w trociny mikro-systemami.

– Zależy mi na tych dzieciach, a dobra nigdy za wiele, Tosiu. Ludzie mają różne pobudki, nie oceniamy ich. Starsze małżeństwo wzięło do siebie czternastoletnią dziewczynę. Kiedy umrą, dostanie ich dom, polisy. Są bezdzietni, a teraz czują, że mają córkę.

– Nie mają córki. To dziewczyna z domu dziecka.

– Nie oceniamy ich – powtórzyła ciocia. – Poza tym te dzieci nie zawsze są z domu dziecka, czasem mają rodziców, różnie się im układało. Porozmawiaj z Włodkiem. Stać was na pensję dla takiego chłopca lub dziewczynki.

Dziewczyna, niesiostra? Mogłaby być taka ładna jak Beata, u której i tak nie miał szans. Spędzaliby dużo czasu razem, poznaliby się, zakochali w sobie. Nawet w kryminałach, które przecież nie mają nic wspólnego z romansidłami, w finale tworzą się pary. Ta opcja z dziewczyną była dużo lepsza.

Generał Rajchert od razu pozbawiła go złudzeń.

– Nie, dziewczynki nie, jeżeli w ogóle na kogokolwiek się zdecyduję. Nie zamierzam kusić losu. Powiększyłabym rodzinę bardziej, niżbym sobie życzyła.

– Myślisz o wszystkim, Tosiu! Dziewczynkę chcę zaproponować Szafarskim. Są wstępnie zainteresowani.

– Szafarscy? Proszę... Zaskoczyłaś mnie. Sama nie wiem. Niby mamy wolny pokój po mojej teściowej, hm... – Grzebała w wazoniku z kamieniami, jakby chciała znaleźć wśród nich odpowiedź.

Wolf znał ten szmer.

Phi, skoro nie może mieć dziewczyny, to na co mu pseudobrat?

Chociaż już lepszy taki podrabiany brat niż nikt.

I tak go nie wezmą.

– Zawsze lubiłam *Anię z Zielonego Wzgórza*. – W głosie mamy nieoczekiwanie usłyszał ciepły ton.

Ciocia zgodziła się, że to piękna książka. Ciekawe, czy w ogóle ją czytała.



HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!